



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Jan Świca

We wsi Trójca, gmina Zabłotów, powiat Śniatyn, województwo Stanisławów

Urodziłem się 16 lipca 1935 roku we wsi Trójca.

Wybuchu II wojny światowej nie pamiętam, bo miałem zaledwie 4 lata.

Z mojego wojennego dzieciństwa wryły się w moją pamięć wydarzenia, które pozostaną do końca mojego życia.

Nasza rodzina mieszkała wspólnie w jednym dużym domu z dziadkiem-inwalidą wojennym z I wojny światowej i jego córkami. Dom składał się z sieni, z której były wejścia do dwóch przyległych izb i komory na wprost wejścia.

Zapamiętałem dzień, w którym zorganizowana była akcja wywozu niewinnych i bezbronnych Żydów. Było to w 1942 roku. Zapamiętałem, jak Żydów wyłapywano i pędzono do kolumny. Pędzili ich Niemcy, ukraińscy policjanci, a pomagali im miejscowi Ukraińcy zaopatrzeni w solidne pałki. Pędzono Żydów w stronę Zabłotowa i tam zostali załadowani do wagonów i wywiezieni prawdopodobnie do Kołomyi-Szeparowiec, gdzie zostali rozstrzelani.

Pamiętam również jak w 1943 roku na naszej ulicy policja ukraińska czegoś poszukiwała. W wyniku poszukiwań natrafiono na ukrywających się Żydów. Ujęto jednego, a drugi zdążył zbiec. Ten, który zdążył zbiec, był naszym sąsiadem, nazywał się Chaim Tau. Szczęśliwie przeżył okres okupacji.

W okresie wycofywania się wojsk niemieckich wzmożyły swoją działalność oddziały Ukraińskiej Powstańczej Armii. W tym okresie, co noc widoczne były luny pożarów, a dorośli przekazywali sobie wiadomości o zbrodniczych wyczynach UPA.

Wczesną wiosną 1944 roku Armia Czerwona przesuując się na zachód, wyzwoliła nasze tereny. W dniu 23 marca 1944 roku uciekliśmy do Zabłotowa, gdzie powstawały lokalne władze. Istniała obawa, że nas Polaków mogą zaatakować banderowcy. Po paru dniach wróciliśmy do swych domostw. Ale Polacy byli czujni i nie nocowali we własnych domach. Dzieci umieszczano na nocleg w domach u życzliwych nam Ukraińców. My spaliśmy u kolegi naszego ojca. Pamiętam jak mama przygotowując kolację nam dzieciom, podawała najlepsze kęsy, ale jedzenie nie chciało przejść przez gardło. Wychodziliśmy z domu pod wieczór, aby szarówką dojść do znajomego. Ja miałem dziewiąty rok życia i nie zawsze mogłem zdążyć za bratem Zbigniewem lat 13 i siostrą Wandą lat 12.

W maju 1944 roku ojciec został zmobilizowany do Armii Polskiej. Z mamą zostało czworo dzieci. W innych domach pozostali starcy, kobiety i dzieci.

Lato 1944 spędziłem u babci mieszkającej nad rzeką Prut. Pasłem jej krowę. Byłem na jej utrzymaniu. Często kąpałem się w rzece Prut, bo lato było pogodne i słoneczne.

We wrześniu 1944 roku powróciłem do domu od babci. Rozpoczęła się nauka w szkole. Chodziłem do szkoły polskiej. Uczyla nas pani Trzczińska, żona byłego kierownika szkoły, który został zmobilizowany do Armii Polskiej.

W końcu października 1944 roku kończyła się właśnie zwózka ziemniaków. Ziemniaki trafiały do kopców. Kukurydza zżęta wiązana była w snopy, około pięć snopów tworzyło kupę. Jeszcze w ogrodach zostały dynie i reszta fasoli.

23 października 1944 roku około godz. 15 pasłem krowy w ogrodzie koło domu.

Wszyscy byliśmy w domu. Mieszkaliśmy przy drodze głównej przechodzącej przez wieś. W pewnym momencie zauważyłem dalszego sąsiada, który jadąc drogą wozem zaprzężonym w dwa konie, bił je batem, aby szybciej biegły w stronę rzeki Prut i Zabłotowa. Pobiegłem do mamy i powiedziałem, że choć jeszcze wcześniej, to zapędzam krowę i jałówkę do stajni, bo zaobserwowałem jakieś niepokojące poruszenie na drodze. Stara krowa poszła na swoje stanowisko a jałówka uciekła przez furtkę na drogę. W tym momencie zauważyłem uzbrojonych mężczyzn gromadzących się na głównej drodze koło naszego domu. Wystraszyłem się i zacząłem płakać. Kornela Laskowska, sąsiadka, która akurat szła do nas, by zemleć kukurydzę, powiedziała do mnie, abym nie płakał, bo ona jałówkę zawróci na podwórze.

Z tej grupy ludzi podszedł do niej mężczyzna i zapytał, czy jest Polką. Ona potwierdziła. Kazał jej iść do naszego domu. On szedł za nią z bronią gotową do strzału, a ja ukryłem się przy stajni i to całe zajście obserwowałem. Schowałem się za kosz na kukurydzę i chwilę czekałem, co będzie dalej.

Zorientowałem się, że to nie partyzanci radzieccy, a banda Ukraińskiej Powstańczej Armii.

Partyzanci radzieccy dwukrotnie kwaterowali tego lata u Polaków i byli obrońcami ludności polskiej. Pojawienie się ich Polacy przyjmowali z zadowoleniem.

Ten banderowiec, który przyprowadził sąsiadkę do naszego domu, wyszedł na podwórze i zawołał do zgromadzonych, aby przyszedli do niego, „bo tu jest co robić”. Te słowa wypowiedział w języku ukraińskim.

Na podwórze naszego gospodarstwa weszła spora grupa banderowców, może kilku lub kilkunastu. Ja w tym czasie wsunąłem się za kosz, żeby nie być zauważonym od strony podwórza. Z mojej obecnej pozycji było blisko furtki, więc usiadłem na starym wiadrze odwróconym do góry dnem. Mnie osłaniała otwarta stara furtka z desek. Ubrany byłem w starą kurtkę, na głowie miałem wojskową furażerkę poniemiecką, byłem boso.

Po wejściu sporej grupy banderowców na podwórze, słychać było strzały z broni maszynowej. Po paru minutach bandyci zaczęli wychodzić na ulicę. Ja nadal siedziałem na wiadrze. Ostatni banderowiec wychodząc od nas dostrzegł mnie. Wychylił głowę w moją stronę nad furtką. Ja spojrzałem na niego i zapamiętałem, że miał kędzierzawe, czarne włosy. Czekałem na rozstrzelanie, ale banderowiec przeszedł obok mnie. Oczekiwanie na rozstrzelanie było okropne. Myślałem, że pęknę, że coś mnie rozsadzi. Siedziałem nadal na wiadrze, bo bałem się ruszyć.

Banderowcy po wyjściu od nas zauważyli sąsiada Mikołaja Korzeniowskiego – staruszka, który był przy swojej bramie, około 30 m od naszej furtki, za którą siedziałem. Słyszałem jak pytali go, czy jest Polakiem. Kiedy potwierdził, kazali mu, by wszedł do swego domu.

Następnie słyszałem płacz jego żony Katarzyny siostry mojego dziadka. Za chwilę rozległy się strzały z broni maszynowej.

Po tych zdarzeniach w naszym domu i u Korzeniowskich zrobiło się cicho. Dochodziły do mnie strzały z broni maszynowej, ale były to strzały z oddali z terenu naszej wioski.

Jeszcze jakiś czas cicho siedziałem na starym wiadrze, bo bardzo bałem się poruszyć.

Kiedy przez pewien czas trwała cisza i spokój, przemożem strach, wstałem z wiadra i zacząłem iść do mamy do domu.

Nogi nie chciały mnie nieść. Ze strachu byłem sztywny. Szedłem jak na szczydlach.

Wszedłem do sieni. Drzwi do obydwu izb były otwarte. To, co zobaczyłem było przerażające.

Na progu izby dziadka leżała skulona sąsiadka Kornela Laskowska, która zawracała jałówkę ratując mnie od śmierci. Moja mama leżała na środku izby na wznak, w kałuży krwi.

Dziadek Franciszek leżał obok swego łóżka i skrzyni z pełnymi garściami siwych włosów.

Kuzyn Jankowski Józef leżał na środku izby, ale nieco dalej.

Nie widziałem co się stało z siostrą Wandą. Prawdopodobnie zginęła w izbie dziadka. Myślałem, że zostałem sam żywy wśród trupów. Nie wiedziałem, co mam z sobą począć.

Nagle zauważyłem, że ktoś schodzi po drabinie ze strychu i mówi do mnie: to, ty Janek.

Była to ciocia Albina, siostra ojca. Odezwanie się cioci usłyszał brat Zbigniew, który był w naszej izbie i wylazł spod łóżka. Obok łóżka stała kołyska, gdzie jeszcze rzeźił postrzelony z karabinu przez banderowca brat Józef.

Było nas troje ocalałych.

Ciocia szybko chyłkiem wybiegła z nami do ogrodu i tam schowała nas w kupy kukurydzy. Siedzieliśmy cicho. Ja w nocy usnąłem i wołałem: mamó, mamó. Było mi zimno. Nie miałem butów i byłem lekko ubrany.

Wczesnym wieczorem bandyci opuszczając wieś jeszcze raz drogą przechodzili koło naszego domu. Podpalili dom. My dalej siedzieliśmy w kupach kukurydzy. Dom był drewniany. Do rana prawie spłonął, a w nim zamordowani.

Rano 24 października 1944 roku, kiedy wszystko ucichło, wstaliśmy i udaliśmy się w kierunku rzeki Prut i dalej do Zabłotowa. Idąc widzieliśmy trupy zamordowanych Polaków, spalone domy polskie.

W naszym domu zostało zamordowanych sześć osób: Laskowska Kornela, sąsiadka, lat 40, Świca Franciszek, dziadek, lat 67, Świca Paulina, mama, lat 40, Świca Wanda, siostra, lat 12, Świca Józef, brat, 1,6 roku, Jankowski Józef, kuzyn, 2,6 roku.

Również zastrzelona została moja babcia Anna Głowacka, lat 77, u której spędziłem lato 1944 roku. Wspaniała człowiek. Jej zwłoki uległy częściowemu spaleniowi od płonącego jej domu.

Ogółem banderowcy w dniu 23 października 1944 roku we wsi Trójca gm. Zabłotów, pow. Śniatyn, woj. Stanisławów zamordowali 63 Polaków i 9 Ukraińców.

Bratem i mną zaopiekowały się siostry mamy w Zabłotowie. W marcu 1945 wyjechaliśmy do Polski. Dzisiaj mam 63 lata i jestem emerytem.